Ner 35. Kraków 4 grudnia 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni J. Czecha hotel drezdeński i F. Baumgardtena w głównym rynku

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Dwa epizody z życia Heinego

streścił i uwagami historycznemi objaśnił
LUCYAN TOMASZ RYCHARSKI.

Pannie Eufemii pracę tę poświęcam. R.

Keine Messe wird man singen,
Keinen Kadosch wird man sagen;
Nichts gesagt und nichts gesungen
Wird an meinen Sterbetagen.
Heine.

Henryk Heine! ..... co za ulubione i zarazem znienawidzone, co za wielbione i wyszydzone imię!

Heine, o którym jedni z całą pełnią podziwu i największego współczucia mówią, a drudzy lżą go i kałem obrzucają! Heine, którego ręką kierowani, jedni dążyli do świątyni ludzkości, do kwiecistego ołtarza najpiękniejszéj muzy *poezji*, gdy tymczasem inni tę samą rękę jako nieczystą i fałszywą z wstrętem odpychali! Heine — któż to jest?

Odpowiedzmy krótko.

Heine, którego zowią rozpasanym ulubieńcem gracji, był *człowiekiem* i *poetą*, a był on człowiekiem wcześniéj niż poetą. Poezja nie była u niego tyle wynikiem fantazji, ile raczéj wypływem wewnętrznego uczucia. Dlatego też poetyczną postać Heinego tak sobie wyobrażać powinniśmy, jaką się nam sama objawiła, nie jako stałą gwiazdę na niebie poezji, ale jako kometę ciągnącego za sobą długą powłokę ognistą. Heine nie zadawalniał się zużytym wątkiem lirycznych poetów, stworzył on sam sobie formę, rzucał się na wszystko, co tylko można było osiągnąć, nie uznawał żadnych granic — skoro tylko uczucie się w nim obudziło, skoro w wnętrzu swém poruszony widział się zmuszonym, wzruszenie to przybrać w zewnętrzną formę — w słowa.

Heine był początkowo romantykiem, w pierwszym jednak kwiecie jego poezji zalągł się robak niezadowolenia; we wnętrzu jego tliła iskra najżywszego uczucia dla wszystkiego, co wielkie, szlachetne i piękne; współudział jego w świecie zewnętrznym podnosiła poezja; atoli bóstwo w piersiach jego zbyt często obrażane było przez panujące bogi świata, a jakkolwiek uznawał on swą bezwładność w obec tych bogów, czuł się jednak często monarchą – i nieraz z swego świętego zacisza występował albo z boską siłą, z boską miłością i łagodnością, albo z boską surowością i ironią. Na téj drodze stał się Heine z pierwotnego romantyka polityczno-socjalnym poetą — forma satyry była mu najwłaściwszą, ponieważ czuł on znikomość całego otoczenia więcéj, niż jego piękno. Gdyby gieniusz poetycki Heinego był niższym, prawdopodobnie byłby on lirycznym marzycielem, najwyżéj zaś politycznym marzycielem — tymczasem był on większym nad to, był Minosem nowszéj literatury; a jakkolwiek nie wolno nam twierdzić, iż Heine wszędzie mówił prawdę, jakkolwiek przyznać musimy, że wiele jego wyroków było niesłusznych, atoli dla wielu, którzy na to zasłużyli, uwił on piękny wieniec laurowy; innych zaś, których należało, smagał nielitościwie biczem satyry i gorzkiéj prawdy.

Jeżeli Heine czuł w sobie tak zwaną „boleść świata" („Weltschmerz"), wierzymy w tę boleść w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu, wierzymy, iż w piersi poety wrzał cały ogrom jęku. Heine jest nieskończenie piękny w swoim bolu, i nie możemy go za to potępiać, jeśli po wzniosłéj potędze jego bolesnéj namiętności nastąpił chłód trywialny. Któż z nas, żywiący w swéj piersi bóstwo najgłębszego uczucia, pierwiastek człowieczeństwa, nie doświadczył na sobie téj zmiany, kiedy zimno i poziomość stosunków krępujących nas, zniszczyła najpiękniejszy kwiat naszego drogiego uczucia?

Nikt nie może odmówić wielkiego uwielbienia dla Heinego — a jeżeli Heine jest wielkim *poetą*, jakich mało Niemcy posiadają, czyż mu za to nie możemy wybaczyć, iż był także *człowiekiem?*

I.

Było to latem r. 1850 (opowiada jeden z biografów Heinego), w dzień pogodny i jasny, kiedy wzdłuż bulwarów paryzkich dochodziłem do kościoła św. Magdaleny. Nagle ujrzałem zbliżającego się do mnie pięknego 40-letniego mężczyznę. Był to *Gerard de Nerval*, jeden z najlepszych

moich przyjaciół, i jeden z najzdolniejszych, jeżeli nie najwięcéj wielbionych pisarzy Francji. Nie widziałem go już od kilku tygodni, chociaż zwykle codziennie ze sobą obcowaliśmy. Dlatego zdziwieni i ucieszeni zarazem powitaliśmy się serdecznie.

— Mój Boże — zawołałem śmiejąc się — myślałem, żeś już umarł.

— Jeszcze nie — odrzekł Gérard — ale to prawda, żeśmy się już od dwóch miesięcy nie widzieli. A propos, mój kochany, dzisiaj popołudnie spędzimy razem z sobą, tém więcéj, iż w tych dniach zamyślam jechać do Wajmaru?

— Do Wajmaru? — zapytałem zdumiony.

— Tak jest, do twych Niemiec; Stadler żąda tego, i ja chcę również, *eh bien*, to wystarcza, aby plan wykonać.

Wiedziałem, że archiwista Stadler był przyjacielem i bratem dla Gérarda, a kieszeń jego zawsze dlań otwarta. Poniewolnie tedy zawróciłem z znakomitym tłumaczem „Fausta,“ i dopiero, kiedy Gérard wszedł w jakąś przecznicę, spostrzegłem, iż przechadzka jego miała dzisiaj pewien cel wytknięty. Poprosiłem go zatem, aby odbył się z swemi sprawami przedwyjazdowemi, tem więcéj, że na wieczór moglibyśmy się zejść w którejkolwiek kawiarni.

— O nie — rzekł Gérard na to — ja idę do *Heinego*. Biedny ten djabełek myśli zapewne jak ty, żem już dawno umarł. Wszakżeż ty jesteś jego współziomkiem, a więc chodź ze mną.

Argument ten bynajmniéj nie skłaniał mnie do towarzyszenia mu. Od dawna już nie miałem zwyczaju obciążać sławnych ludzi odwiedzinami bez dostatecznéj przyczyny; a cóż za powód mieć mogłem dzisiaj do odwiedzenia mieszkającego w Paryżu niemieckiego poety? Dlatego zwróciłem uwagę Gérarda na to, iż może Heine nielaskawém będzie patrzał okiem na podobną wizytę.

— Mylisz się — odpowiedział szczery przyjaciel Henryka Heinego; owszem, lubi on bardzo kilka godzin poobiednich spędzić w towarzystwie. Przed południem tylko i jeżeli pracuje, są mu odwiedziny wszelkie niemiłe; wtenczas też najlepszych nawet przyjaciół nie zwykł przyjmować.

Wiedziałem dawno o wielkiéj przyjacielskiéj zażyłości Gérarda de Nerval z chorym niemieckim poetą; był on może jedynym, którego Heine szczerze kochał, i któremu wszystko, nawet największe tajemnice powierzał. Życzenie moje, aby poznać sławnego poetę, było zupełnie naturalne, a oprócz tego spodziewałem się, iż przyjaźń Gérarda będzie najlepszą dla mnie rekomendacją. Dlatego nie namyślając się długo, postanowiłem skorzystać z tak dobréj sposobności, aby odwiedzić Heinego.

Wkrótce doszliśmy do pięknych i wysokich domów cichéj rue d'Amsterdam, a w kilka minut późniéj znaleźliśmy się w przedpokoju, wiodącym do lazaretu Heinego.

Mimowolnie ogarnęło mnie uczucie pewnéj trwogi i żałości. W pobliżu duchów, które jako niezwyczajne dla ich działalności szanować i cenić zwykliśmy, nawet najśmielszy i najmniéj przesądny ulega wpływowi niepewności i oczekiwania, wpływowi, który wszelką teorję o równości wszystkich ludzi zamienia w mgłę ciemną. Czy to są słusznie lub niesłusznie sławni ludzie, do których się w naszéj prostocie zbliżamy; chwała z swym mistycznym wieńcem wzbudza w nas pomimowolnie hołd i uwielbienie.

Henryka Heinego, którego pieśni od dwunastu już lat szerzyły jego sławę, którego gwałtowna fantazja nawet nawjększego prozaika przenosiła w niebiańskie i ułudne sfery, zostać w tak posępnem miejscu i w tak smutnym stanie, zaprawdę musiało to umysł każdego przejąć dreszczem współczucia i żałości.

Mdła ciemność wprawiła mnie na wstępie do sypialni początkowo w pewien stan oślepienia, gdy tymczasem ostra i zawierająca oddech woń jeszcze mnie bardziéj odurzyła. Mimowolnie pomyślałem sobie, iż miejsce to zapłodnione jest tylko oddechem Heinego, owym oddechem, któryby wszystkie piękne kwiaty zniszczył, gdyby ich się dotknął. Wkońcu jednak wzrok mój przyzwyczaił się do tego jakoby podziemnego światła. Za parawanem, dzielącym pokój na dwie połowy, stało łóżko, na którém leżał nieszczęśliwy już od dwóch lat ze swemi bolami i marzeniami, i na którém, o dziwo! miał jeszcze pięć lat umierać. Z trudnością ujrzałem pod lekką białą kołdrą mały korpus, który bez muszkułów, bez mięsa, prawie bez krwi, podobny był do szkieletu obciągniętego cienką skórą. Z równąż trudnością zdołałem rozróżnić na poduszce małą twarz Heinego, któréj widoku serce moje w piersi straciło nagle swe tętno i na kilka chwil odrętwiało.

Czoło chorego pokryte rzadkiemi włosy, występowało naprzód; oczy głęboko zapadłe, jedno nawet pozostało zupełnie przymknięte, gdy tymczasem drugie zdrętwiałe i blade od czasu do czasu ożywiało się radosnym i jaskrawym połyskiem i tem żywszą przybierało grę kolorów, im więcéj chory mówił. Broda jego biała i w nieładzie była jedyną zewnętrzną oznaką dowodzącą, iż leżący tu w łóżku człowiek nie był dzieckiem, ale mężem.

Gérarda, Heine natychmiast poznał; wyciągnął ku niemu delikatną, małą, kościstą rękę i rzekł śmiejąc się:

Widzę jednak, iż wola człowieka ma w sobie magnetyczną siłę; gdyż *chciałem* cię dzisiaj widzieć. Do djabła, ty, zdaje się, nie chcesz już oddychać razem ze mną tém samém powietrzem, a mimo to jesteś poetą.

Gérard przedstawił mnie jako jego współziomka.

— O, to teraz wejdzie w modę — zawołał Heine wpół do mnie zwrócony — że niemieccy pisarze będą do mnie pielgrzymować, jak Mahometanie do Mekki. A przytém mówią jeszcze, że nie mam w sobie żadnéj religii. Przypatrz się Gérardzie, wkońcu to już będę za relikwię uważany.

Spostrzegłszy tedy, że Heine wizytami podróżujących

niemieckich literatów bynajmniéj nie czuł się zbudowanym, zapewniłem go, iż tylko na życzenie Gérarda pozwoliłem go sobie odwiedzić.

— Wierz mi, mój panie, że przyjaciele moi więcéj mi już przykrości sprawili, niż wizyty. Dzisiaj jednak każdemu jestem wdzięczny, kto mi pomaga do zabicia czasu. Gdyby to tak można przyjmować wizyty w nocy! Ah w nocy!

Przy tych słowach Heine westchnął, a na zapytanie Gérarda o jego zdrowie, odpowiedział skarżąc się niemal:

— Ten doktor Gruby to jest wielki tyran; nie daje mi żadnego lekarstwa, abym przynajmniéj w jednéj nocy mógł doznać dobrodziejstwa i rozkoszy snu. Przyjdzie wkrótce do tego, że zupełnie zapomnę spać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MÓDLCIE SIĘ ZA MNIE.

(Wiersz napisany przez Karola Huberta Millevoye w Neuilly 1816 r na tydzień przed śmiercią).

W mieścinie w ciche ustronie
Przed gwarem świata schowanéj,
W niewielkiém przyjaznych gronie,
Chory boleścią złamany
Tak mówił: „Zacni ludziska,
Godzina modlitwy bliska,
Dźwięk dzwonów rozległ się w mieście,
I za mną westchnienie wznieście."

Nim wiosna pola i bory
Okryje szaty nowemi,
Powiecie: „Biedny nasz chory
Już przestał cierpieć na ziemi."
O wtedy przyjdźcie w te strony
Zaśpiewać smutnemi tony,
A gdy się ozwie dzwon w mieście,
I za mną westchnienie wznieście.

Niemałom doznał od ludzi
Obłudy i złości grotów,
Lecz nic mych wspomnień nie brudzi,
Więc gdy kres bliski — jam gotów.
Niedługom gościł na świecie,
Rzucam go w lat moich kwiecie....
Gdy dzwony ozwą się w mieście
I za mną westchnienie wznieście.

A ty najdroższa istoto,
Którą kochałem i czciłem,
Życiem ci składał z ochotą,
Niestety! zbyt krótko żyłem!...
Żal wam jéj zacni ludziska...
Godzina modlitwy bliska.
Dźwięk dzwonów ozwał się w mieście
Z nią za mnie westchnienie wznieście.

Ludwika Sab.....

NIEPOCIESZONA WDOWA

CZYLI

PLANETA I SATELICI,

komedja w 4-ch częściach, prozą,

Z FRANCUZKIEGO PRZEZ MÉRY

PRZEŁOŻYŁA

Ludwika Sabowska.

(Ciąg dalszy).

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI, (potem) LEON d'ORVIGNY

ODŹWIERNY *(oznajmując).* Wejdź pan; oto pani.

(Leon d'Orvigny wchodzi w ubraniu wiejskiém. Jest bardzo blady i głos jego melancholicznie powolny).

PANI DE SAINT-MARC. On zdaje się bardzo nieszczęśliwy.

KAROLINA. Zwłaszcza w takiém ubraniu.

LEON D'ORVIGNY. Pani, stawiam się na wezwanie.

PANI DE SAINT-MARC. Panie, mocno mnie cieszy, że widzę pana ocalonym i zdrowym; lecz byłabym panu bardzo wdzięczną, gdybyś mi wytłumaczył powód, który pana skłonił wybrać mój staw z pomiędzy wszystkich wód okolicznych.

LEON D'ORVIGNY. Pani, nie robiłem wyboru: przypadek sprowadził mnie tutaj. Będąc właśnie nad pani stawem, doznałem przystępu rozpaczy, rozum stracił władzę nademną, skoczyłem! Rozumiem teraz wobec pani, że moje samobójstwo jest więcéj jak występkiem, jest niegrzecznością; na inny raz poprzestanę na występku.

PANI DE SAINT-MARC. Jakto, więc pan obstajesz przy swoim zamiarze?

LEON D'ORVIGNY. *(z głębokim smutkiem).* Muszę.

PANI DE SAINT-MARC. W pańskim wieku, jakież nieszczęście mogło popchnąć do rozpaczy tak zawziętéj? Chciéj pan wybaczyć méj niedelikatnéj ciekawości.

LEON D'ORVIGNY. Ciekawość pani jest dowodem współczucia, a więc nie jest niedelikatną.

PANI DE SAINT-MARC. Może przeszkody napotkane w uczuciach? . . .

LEON D'ORVIGNY. Nie, pani; walka z przeszkodami byłaby mnie zachęcała do życia.

PANI DE SAINT MARC. Utrata majątku? . . .

LEON D'ORVIGNY. I to nie, pani; mój majątek pozwala mi żyć wygodnie: mam jedenaście tysięcy franków rocznego dochodu; mój dom wiejski jest oddalony o pięć minut drogi od tego zamku.

PANI DE SAINT-MARC. Więc zdrowie? . . .

LEON D'ORVIGNY. Wyborne, pani; posiadam wszystko to

coby innych zadowolniło; nie brakuje mi nic, żeby się módz nazwać szczęśliwym.

Pani de Saint-Marc. A jednak pan jesteś nieszczęśliwym?

Leon d'Orvigny. Nie powiedziałem tego, pani.

Pani de Saint-Marc. Nie rozumiem pana zupełnie.

Leon d'Orvigny. Nie dziwi mnie to.

Karolina. Ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy, straszne położenie!

Leon d'Orvigny. Nudy mnie zabijają, pani, oto wszystko!

Pani de Saint-Marc *(z westchnieniem)*. Rozumiem!

Klrolina *(również wzdychając)*. Rozumiemy!

Pani de Saint-Marc. Nic więc nie jest panu miłem na na tym świecie?

Leon d'Orvigny. Nic, pani, nawet miłość.

Karolina. Ah! mój Boże!

Leon d'Orvigny *(kłania się chcąc odejść)*. Pani, pozwól mi złożyć moje pożegnanie.

Pani de Saint-Marc. Panie!

Karolina. Niech pani nie pozwala odejść temu panu, bo się utopi powtórnie.

Pani de Saint-Marc. Panie, czuję obowiązek sumienia zapytać pana, czy wychodząc z tego zamku masz lepsze zamiary?

Leon d'Orvigny. Pani, moje zamiary są niezachwiane. Ogrodnicy pani ratując mnie, narazili mnie tylko na zwlokę. Jestem skazany nieodwołalnie.

Pani de Saint-Marc. W takim razie, panie, moje przekonania religijne zniewalają mnie zabronić panu ztąd odejść!

Karolina. Jesteś pan naszym więźniem; nie chcemy mieć na sumieniu śmierci człowieka.

Leon d'Orvigny. Byłoby mi niezmiernie łatwo oszukać panią co do moich zamiarów . . . wolę jednak przyjąć wszystkie następstwa mojéj *szczerości.*

Pani de Saint-Marc. Nikt więc pana nie obchodzi, ani pan nikogo?

Leon d'Orvigny. Jestem sierotą, pani . . . Samobójstwo jest wypływem największego egoizmu . . . samobójca kocha tylko siebie.

Karolina. Ale nas pan wiele obchodzi, mnie i panią.

Pani de Saint-Marc. Bezwątpienia . . . czyż nie jesteś pan zobowiązanym do wdzięczności i przyjaźni względem tych, którzy panu ocalili życie z narażeniem swego?

Leon d'Orvigny. O nich nie zapomnę: mój majątek do nich należy lub będzie należał . . .

Pani de Saint-Marc. Usług tego rodzaju nie wynagradza się pieniądzmi.

Leon d'Orvigny. W jaki sposób chcesz pani żebym je



PAŁAC W NOWÉJ

nagrodził? . . . Wypełnię rozkaz pani.

Pani de Saint-Marc. Odstępując od zamiarów samobójstwa.

Leon d'Orvigny. Sprobuję żyć, pani . . . ale . . .

Pani de Saint-Marc. Oh! nie ma żadnego *ale* . . . Jesteś pan ocalonym u mnie i przez moich ludzi, rozkazuję więc panu żyć i będziesz pan żył; pierwsze



…EKSANDRJI (Puławach).

pańskie samobójstwo było, jak pan powiedziałeś, niegrzecznością, drugie byłoby niewdzięcznością . . . Pan nie będziesz niewdzięcznym.

Leon d'Orvigny. Jeżeli cośkolwiek może mnie pogodzić z życiem, to jedynie zajęcie pełne dobroci, jakie okazywać pani raczysz nieszczęśliwemu.

Pani de Saint-Marc. Jak pan możesz nazywać się nieszczęśliwym, skarżyć się mają prawo tylko prawdziwie cierpiący.

Karolina. Którzy nie mają jedenastu tysięcy franków rocznego dochodu.

Leon d'Orvigny. Właśnie te moje jedenaście tysięcy franków rocznego dochodu odgrywają wielką rolę na liście przyczyn moich nudów . . . . Ta cyfra kulawa *jedenaście*, niezgadzająca się z dwunastoma miesiącami roku, niepokoi mnie nad wyraz. Nie śmiéj się pani, jest to ważne . . . Każdego rana doznaję strasznéj pokusy, któréj zadosyć uczynię wcześniéj lub późniéj, aby dodać moim dochodom dwunasty tysiąc, którego im brakuje; czuję że się oddam grze na gieldzie, spekulacjom na akcje jakiéj kolei żelaznéj i że się zrujnuję zupełnie na ściganiu tego dwunastego tysiąca. Jest to niedorzecznem przyznaję, niedorzecznem dla innych, ale bardzo rozumnem . . . w moich oczach. Na cyfrę jedenaście patrzę zawszę jak na śmiertelnego wroga.

Pani de Saint-Marc. Jeżeli wszystkie nieszczęścia jakie pana niepokoją są tego rodzaju, nie zatrważa mnie tak bardzo niemożliwość wyleczenia pana.

Leon d'Orvigny. Teraz, pani, czy raczysz dać wolność twemu więźniowi?

Pani de Saint-Marc. Dobrze, lecz pod warunkiem, że mój więzień zasłuży na nią.

Leon d'Orvigny. Będę wdzięcznym, pani.

Pani de Saint-Marc. I będziesz pan przychodził codziennie wyrażać swoją wdzięczność tym, którzy pana ocalili, do czasu zupełnego wyleczenia.

Leon d'Orvigny. Codzień, pani; w ten sposób, zwoli pani przeżyję sam siebie, lub mówiąc lepiéj, zacznę żyć od dziś. *(Kłania się z uszanowaniem i wychodzi).*

SCENA CZWARTA

PANI DE SAINT-MARC, KAROLINA, ODŹWIERNY.

Karolina. Mój Boże! jak to jest przyjemnie zrobić coś dobrego!

Pani de Saint-Marc. Tak małym kosztem.

Karolina. Teraz możemy się śmiać! Jak dziwacznie wyglądał! mężczyzna nie jest niebezpiecznym w tém ubraniu wieśniaka z opery komicznéj.

Pani de Saint-Marc. Ah! dopiero teraz przyszło mi na myśl! . . . zapomniałyśmy zapytać go o nazwisko.

KAROLINA. Mnie się ciągle zdawało, że widzę przed sobą starego Gerwazego w świątecznym stroju, nie myślałam nawet, żeby się mógł nazywać inaczéj jak Gerwazy.

ODŹWIERNY. *(oznajmując).* Panna Baptystyna Desbuissons młodsza. *(Wychodzi).*

PANI DE SAINT-MARC. Uciekam . . . Przyjmij ją, Karolino, i staraj się ją oszczędzać.

KAROLINA. Bądź pani spokojną, będę ją oszczędzała drażniąc ją.

SCENA PIĄTA.

KAROLINA, PANNA DESBUISSSNS młodsza, LEMIGNARD.

PANNA DESBUISSONS. Czy mogę się widzieć z panią de Saint-Marc?

KAROLINA. Oh! pani, tylko com widziała moją panią; nie wyjdzie dzisiaj ze swego apartamentu.

PANNA DESBUISSONS. Powracając ze mszy z panem Lemignard, zboczyłam na chwilę, ażeby się zapytać o zdrowie pani de Saint-Marc.

KAROLINA. *(podając krzesła).* Może państwo zechcą spocząć chwilę? . . .

PANNA DESBUISSONS. I owszem chwilkę. Upał nieznośny.

LEMIGNARD. Nieznośny.

PANNA DESBUISSONS. Pan Lemignard był tak dobrym, że mi towarzyszył . . . Sąsiedztwo załogi jest bardzo nieprzyjemne; kobieta nie może wyjść sama bez narażenia się na jaką przykrość; moja starsza siostra, Brygida, była ściganą wczoraj przez jakiegoś oficera dragonów aż do bramy parku.

KAROLINA. Oh! ci oficerowie nie cofają się przed niczem.

LEMIGNARD. Oh! jaka szkoda, że mnie tam nie było!

PANNA DESBUISSONS. W podobnych okolicznościach mężczyzna służy za tarczę.

LEMIGNARD. Zawsze.

PANNA DESBUISSONS. Bo też tak niewiele potrzeba, żeby pozbawić dobréj sławy kobietę!

KAROLINA. Wistocie, tak niewiele, że częste wizyty pana Lemignard u panien Desbuissons ludzie tłumaczą w rozmaity sposób.

(Pan Lemignard podskakuje na krześle).

PANNA DESBUISSONS. Szczęściem, obyczaje pana Lemignard są wyższe nad wszystkie podejrzenia. Pan Lemignard jest podskarbim parafialnym, radcą municypalnym, prezesem kassy oszczędności i ekonomistą. Oszczerstwo straci co do jednego zęba, nim zdoła naruszyć jego dziewiczą reputacją.

KAROLINA. Lecz pani mnie nie zrozumiała; świat nie oczernia mężczyzn, tylko zwykle niepokoi kobiety.

PANNA DESBUISSONS. Masz słuszność, to my tylko, my biédne kobiety, cierpimy przez złośliwość ludzką! . . . Oto właśnie dziś rano, z powodu samobójstwa pana Leona d'Orvigny . . .

KAROLINA. Ah! on się nazywa Leon d'Orvigny?

PANNA DESBUISSONS. *(zdziwiona)* Nie wiedziałaś o tém Karolino?

LEMIGNARD. To już za wiele! niewiedziała o tém!

PANNA DESBUISSONS. Więc z powodu samobójstwa tego młodego człowieka, którego nie znasz, czy nie mówiono wszędzie, że to samobójstwo było udaniem miłosném, i że pan Leon d'Orvigny rzucił się w staw, w którym się utopić nie można, jedynie dlatego, ażeby się dostać do zamku, w którym się naprawdę tonie!

KAROLINA. Ah! powiedziano tak?

PANNA DESBUISSONS. I cały departament, liczący dwadzieścia dwa tysiące wyborców, powtórzy to jutro. Przychodzę więc jako szczera przyjaciółka, doradzić pani de Saint Marc, ażeby zaprzeczyła tym pogłoskom w dzienniku Seine-et-Oise.

KAROLINA. Pani, tylko pogłoskom prawdziwym zaprzecza się w dziennikach. Jak dwadzieścia dwa tysiące wyborców, o których pani mówisz, puszczą w obieg pogłoskę że pani zajmujesz się plotkami i kokieteryą w siedmdziesiątym piątym roku życia, radzę pani im zaprzeczyć.

PANNA DESBUISSONS *(zrywając się).* Zuchwała!

LEMIGNARD *(do Karoliny tonem groźby).* Gdyby to był mężczyzna!

ODŹWIERNY *(oznajmując)* Pan Leon d'Orvigny!

LEMIGNARD *(cofając się).* Ah!

PANNA DESBUISSONS. Chodźmy!

LEMIGNARD. Dobrze.

SCENA SZÓSTA.

CIŻ SAMI, LEON d'ORVIGNY *(w ubraniu wytwornem).*

PANNA DESBUISSONS *(wychodząc).* To prawdziwie gorszące!

LEMIGNARD. Chodźmy pani. *(Wychodzą drzwiami w głębi i kłaniają się panu Leonowi d'Orvigny).*

(Zasłona spada).

CZĘŚĆ DRUGA.

Ta sama dekoracja.

SCENA PIERWSZA.

LEON D'ORVIGNY, KAROLINA.

LEON D'ORVIGNY. Winienem pani de Saint-Marc moją pierwszą wizytę rekonwalescencji . . .

KAROLINA. Przychodzisz pan spłacić swój dług.

LEON D'ORVIGNY. Pierwszy jaki zaciągnąłem w mém życiu.

KAROLINA. Teraz rozumiem pański pośpiech.

LEON D'ORVIGNY. Lecz pozwolisz mi także wypłacić drogi?

KAROLINA. Komu?

LEON D'ORVIGNY. Tobie.

KAROLINA. Czy i ja jestem pańską wierzycielką?

LEON D'ORVIGNY. Tak jest.

Karolina. W mojéj niewiadomości zapewne.

Leon d'Orvigny. Dla sumiennego dłużnika nic to nie znaczy, że wierzyciel nie wié o długu.

Karolina. Niech i tak będzie, przyjmuję wszystko!

Leon d'Orvigny. Wszystko?

Karolina. Dlaczegoby nie? To jest tak przyjemnie przyjmować.

Leon d'Orvigny. Okazywałaś mi dziś rano najżywsze współczucie.

Karolina. Najżywsze, nie przeczę temu.

Leon d'Orvigny. A zatem zechciéj przyjąć jako pamiątkę . . .

Karolina (*żywo*). Oh! w ten sposób nic nie przyjmuję! Słowa pańskie brzmią jak testament, przestań pan mówić jak umierający przed notarjuszem, a przyjmę wszystko.

Leon d'Orvigny. Nawet pierścionek? . . .

Karolina. Kiedyż odmawia się pierścionka?

Leon d'Orvigny (*dając jéj pugilares*). Więc dobrze, oto będzie go za co kupić. Wybierzesz go według twéj woli.

Karolina. I nie będziesz pan już więcéj myślał o stawach, rzekach, i o tych nieszczęśliwych jedenastu tysiącach franków dochodu?

Leon d'Orvigny. Słowo honoru! nie będę o tém więcéj myślał.

Karolina. Więc daj mi pan pierścionek.

Leon d'Orvigny. Proszę.

Karolina. Czy mogę panu oddać jaką usługę teraz?

Leon d'Orvigny. Wielką nawet!

Karolina. W jaki sposób?

Leon d'Orvigny. Zawiadamiając panią de Saint-Marc, że, jeżeli nie będę miał szczęścia widzieć ją zaraz, przyjdzie mi umrzeć powtórnie w ciągu jednego dnia.

Karolina. Takie zagrożenie byłoby zbytecznem . . . Dosyć będzie pana oznajmić. Przejdź się pan nieco po ogrodzie; pani kończy się ubierać.

Leon d'Orvigny (*wychodząc*). Zdaje mi się, że będę miał cierpliwość przejść parę razy ten ogród.

Karolina. Nadewszystko staraj się pan być ciągle najmniéj pięćset kroków od stawu.

SCENA DRUGA.

KAROLINA (*sama patrząc na pugilares*).

O boska ciekawości! ozdobo cór Ewy! Poznaję żem kobietą, po téj upajającéj wadzie, któréjbym nie oddała za cnotę! Otwórzmy puszkę Pandory. (*Otwiera pugilares*). Bilety z literami czerwonemi; każdy po pięć tysięcy franków! Nowy rodzaj samobójstwa: chce się zrujnować teraz! . . . Oh! mój Boże! jeden, dwa, trzy . . . Założyłabym się że ich jest dwadzieścia! . . . tyle ich potrzeba na pięć tysięcy franków rocznego dochodu . . . zostaje mu jeszcze sześć, pięćset franków miesięcznie rachunek okrągły! Tym podarkiem chce sobie udogodnić swój budżet . . . ale ja tego nie przyjmę . . . Nie ma pierścionka po sto tysięcy franków. Jednak, kiedy idzie o powrócenie spokojności biednemu szaleńcowi, skłonnemu do samobójstwa, czy godzi się odmawiać pięciu tysięcy franków dochodu, ofiarowanych z taką grzecznością i dowcipem? Nie, nie będę niewdzięczną aż do tego stopnia, poświęcam się, przyjmuję; jest tak przyjemnie zobowiązywać! a zresztą, jak się upamięta, to mu oddam może. Jestem bowiem zdania Woltera: jutro będzie dzień, a noc poddaje radę.

SCENA TRZECIA.

KAROLINA, PANI DE SAINT-MARC (*w ubraniu pół żałobném*).

Pani de Saint-Marc. Nie trać jednéj chwili, Karolino, idzie tu o mój honor, o moją dobrą sławę, jeden dzień, jeden dobry czyn, może mnie skompromitować i pozbawić owocu nieskazitelnego dziesięcio-miesięcznego wdowieństwa.

Karolina. Gdzież więc potrzeba spieszyć, żeby to wszystko ocalić?

Pani de Saint-Marc. Do mojego sąsiada, pana Baralier.

Karolina. Do najbliższego z naszych sąsiadów.

Pani de Saint-Marc. Trzeba go tu sprowadzić w téj chwili.

Karolina. Pod jakim pozorem?

Pani de Saint-Marc. O pozór nie trudno . . . Młody samobójca jest tam, w ogrodzie . . . poznałam go mimo wykwintnego ubioru . . . Chcę mi się przedstawić; nie mogę go nie przyjąć: trzeba więc sąsiada Baralier.

Karolina. Dla uczynienia zadość przyzwoitości, mężczyzna pięćdziesięcio-cztero-letni, łysy, chodownik jedwabników, agronom, a co więcéj, nudny jak zima, brzydki jak wierzyciel, głupi jak romans z towarzyszeniem fortepianu.

Pani de Saint-Marc. Właśnie takiego mi potrzeba . . . Wymknij się drzwiami ukrytemi, nie trać ani minuty, przyprowadź mi pana Baralier.

Karolina. (*wychodząc na lewo*). Ah! pani, jak jesteśmy daleko od klasztoru!

SCENA CZWARTA.

PANI DE SAINT-MARC (*sama*).

Wistocie, świat nie jest wymagającym. Zadawalnia się pozorami. Nie to z czém się zakopujemy w czterech murach zabija naszą dobrą sławę, lecz to, co wystawiamy na pokaz. Nie jest tak niebezpiecznem ukryć występek jak odsłonić cnotę . . . Mój Boże! jak trudno jest żyć według praw jakich ludzie trzymać nam się każą! . . . (*Słychać wystrzał pistoletu we wsi*). Wystrzał! . . . Ah! mój Boże! czyżby to było jeszcze drugie szaleństwo tego młodego człowieka! . . .

SCENA PIĄTA.

PANI DE SAINT-MARC, HIPOLIT, GABRJEL LOROT. *(Obydwaj w ubraniu myśliwskiém).*

PANI DE SAINT-MARC. Mój kuzyn!

HIPOLIT. Tak, to ja, to ja, kuzynko, uściskajmy się! Straciłem pół-dwunasta dnia na podróż z Paryża do twego zamku, przez lasy, pola, stawy i bagniska, polując ciągle jak jaki defraudant zwierzyny! Przedstawiam ci, kuzynko, mojego przyjaciela Gabrjela Lorot, który cię prosi o schronienie Nieszczęśliwy, ma na karku piętnaście protokółów straży leśnéj. Przyrzekłem mu rozkosze twojéj gościnności.

PANI DE SAINT-MARC *(niezmiernie pomieszana).* Nie odmawiam nikomu gościnności; lecz wiesz, że mi tu brak wszystkiego czego gościnność wymaga.

HIPOLIT. On nic nie wymaga kuzynko; my, myśliwi, zadawalniamy się nawet tém czego niema . . . Cztery godziny snu w śpiechlerzu, na wiązce siana, a ze świtem jesteśmy znów na nogach, wpośród orkiestry psów, naszéj najpiękniejszéj muzyki! budzimy na gwałt wszystko co się tylko znajduje w krzakach na dziesięć mil wokoło, i śpiewamy sławne balali . . .

Naprzód, naprzód myśliwi!

Kuzynko, resztę powiem ci późniéj.

GABRJEL LOROT. Pani, nim miałem przyjemność przybyć tutaj, już w osobie pani kuzyna, złożyłem pani podziękowanie za dobre przyjęcie jakiego tu doznaję.

HIPOLIT. Brawo! mój przyjacielu! jesteś grzeczny jak myśliwy! Jest to przysłowie myśliwskie, moja kuzynko.

PANI DE SAINT-MARC. Uwaga twoja zbyteczna, kuzynie, odgadłam to.

HIPOLIT. Jestem szczęśliwy, kuzynko, że mogę ci przedstawić Gabrjela Lorot jako najdawniejszego z moich przyjaciół.

PANI DE SAINT-MARC. Ah!

HIPOLIT. Nie mam innego przyjaciela i znamy się dopiéro od przedwczoraj; lecz dwa dni przepędzone razem na polowaniu znaczy dziesięć lat w innych okolicznościach. Mój ojciec dał mi dobrą radę.. „Moje dziecko, mówił mi zawsze, chcesz nie mieć nigdy nieprzzjaciół, nie staraj się o przyjaciół.“ Szedłem za jego radą dopóki nie wiedziałem o istnieniu Gabrjela Lorot, młodzieńca skończonego, bohatera strzelnicy i sali fechtunkowéj, bohatera szpady i broni palnéj! doktoryzowanego *in utr que* w Sorbonnie ogrodu Mabille, wreszcie Pyladesa z 1850 roku, którego mój ojciec nie przewidział, dając mi swoją radę.

PANI DE SAINT-MARC. Pochwała nader pochlebna i nader zasłużoną, bezwątpienia; nieszczęściem twój dawny przyjaciel nie znajdzie w tym zamku żadnéj sposobności do okazania swoich świetnych przymiotów; sprowadzając go tutaj, przygotowałeś mi przykrość jakiéj doznam widząc go odjeżdżającym wkrótce.

HIPOLIT. On nie pojedzie prędko, on niepojedzie wcale, zaludnimy twoją samotnią, droga kuzynko.

GABRJEL LOROT. Będzie dla nas prawdziwem szczęściem poświęcić pobyt polowaniu i towarzystwu pani.

PANI DE SAINT-MARC, *(na stronie).* Miałabym dobrą sposobność być niegrzeczną gdybym śmiała.

HIPOLIT. Kuzynko, mamy apetyt myśliwski; zaprosiłem Gabrjela na śniadanie do ciebie.

GABRJEL LOROT. Bez ceremonji.

HIPOLIT. Owszem, z ceremonią, stół mojéj kuzynki jest pierwszym w depertamencie:

PANI DE SAINT-MARC. Panowie, idę wydać rozkazy. *(Kłania się i wychodzi na lewo).*

SCENA SZÓSZTA.

GABRJEL LOROT, HIPOLIT.

GABRJEL. Cudna istota! nie odjadę nigdy! Twoja kuzynka jest godną uwielbienia; jest ona tak piękną, żem oniemiał i zgłupiał. Jak to, ty masz takie kuzynki w tym zamku, i ścigasz jelenie po lasach!

HIPOLIT, *(do siebie).* Ma słuszność! moja kuzynka jest wdówka co się zowie.

GABRJEL. I tyś nigdy nie zwrócił na to uwagi?

HIPOLIT. Nigdy . . . Co u djabla siedziało mi w głowie? W istocie, jest to najpiękniejsza kuzynka jaką młody kuzyn mieć może . . . Oh! piękna myśl? zakocham się w niéj!

GABRJEL. Chwilkę! pozwól Hipolicie, miejsce już zajęte.

HIPOBIT. Przez kogo?

GABRJEL. Przezemnie.

HIPOLIT. Ah!

GABRJEL. Dziwi cię to?

HIPOLIT. Bardzo, niezmiernie nawet.

GABRJEL. Gdym wchodził tutaj, oko moje spotkało się z jéj wejrzeniem, i powiedziałem sobie: *Trafiła!* Jednéj minuty było dosyć, byłem ranny w serce. Nauczy cię to na przyszłość. mój drogi, sprowadzać przyjaciół do twoich kuzynek.

HIPOLIT. I ty naprawdę myślisz się w niéj kochać?

GABRJEL. A ty nie myślałeś?

HIPOLIT. Ja, to co innego! ja ją znałem.

GABRJEL. Cóż z tego? . . . ja ją znam. Hipolicie, słuchaj dobréj rady: nie poluj na moich gruntach.

HIPOLIT. Ależ to ty, u djabla! polujesz na moich!

GABRJEL. Jestem defraudantem zwierzyny.

HIPOLIT. Miłosnéj także?

GABRJEL. Każdéj.

Hipolit. A więc, jadę do Paryża w téj chwili.

Gabrjel. Dobrze, jedź, ja zostaję.

Hipolit. Wyprawiasz mnie z mojego domu, z domu mojéj kuzynki!

Gabrjel *(tonem groźby)*. Hipolicie! nigdy więcéj jak pięć minut cierpliwości nie poświęcam nieprzyjacielowi; strzeż się pan!

SCENA SIÓDMA.

CIŻ SAMI, KAROLINA BARALIER, LEON d'ORVIGNY.

Karolina *(za sceną)*. Ale poczekajże pan, panie Baralier.

Barlier *(wchodząc)*. Mogę powiedzieć, że wchodzę tutaj jak tryumfator: pani de Saint-Marc kazała mnie przywołać. *(do Gabrjela)* Oznajmij mnie pani de Saint-Marc.

Gabrjel *(z gwałtownością)*. To zuchwalstwo, panie!

Karolina *(wchodząc z głębi)*. Ah! mój Boże! zkąd znowu ci się wzięli? Trzeba ostrzedz panią. (*Wchodzi na lewo).*

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr. — („Lilla-Weneda“ tragedja p. *Słowackiego*. — „Szpieg Bonapartego“ komedja p. *Alfonsa Karr*. — „Takie one wszystkie“ komedja p. *Karola Narrey)*.

Któż nie oddaje zasłużonych hołdów utworom jednego z najznakomitszych poetów naszych Słowackiemu? Lecz któż zarazem zechciałby przeczyć, że przedstawienia takich dzieł artystycznéj fantazji jak „Balladyna“ i „Lilla Weneda“ na scenie, połączone jest z niezmiernemi, prawie niepokonanemi trudnościami?

Nietylko brak środków do tworzenia koniecznych scenicznych efektów, ale sam wzgląd na siły personalu i nieodpowiadającą warunkom sceny budowę wspomnionych tragedji, powinienby Dyrekcji raz na zawsze odradzić robienie prób, których rezultat jest zawsze ten sam — niepowodzenie.

Przeszły już czasy, kiedy każden prawie amator literatury silił się w pocie czoła na częstokroć bardzo komiczne interpretacje Słowackiego, ściągając go z wysokich sfer fantazji do poziomu swoich własnych przypadkowych mrzonek, dziś idzie nam przedewszystkiem o to, czy wolimy badać go i podziwiać z książką w ręku, lub téż niecierpliwić się i uśmiechać z oczami skierowanemi na deski teatralne?

Pod względem odpowiedzi łudzić się nawet niepodobna.

W sprawozdaniu z przedstawienia „Balladyny“ powiedzieliśmy już, że tragedjom Słowackiego zbywa na jedności, owóż tedy takie rozstrzelenie akcji bez organicznego poprowadzenia peryferji około stałego środka ciężkości, stawia przeważną liczbę działających postaci na pierwszym planie, a wielu z nich nadaje epizodyczny charakter. Łatwo tedy pojąć wynikające ztąd trudności przy obsadzeniu tylu ważnych ról, i łatwiéj jeszcze domyślić się, że nie wszystkie były należycie odegrane.

Pan *Benda* wybrał sobie tę sztukę na benefis i odegrał rolę „Ślaza“ ze szczęśliwym bardzo humorem, z dobrą charakterystyką, lecz zarazem z nieco przesadzoną komiką nienaturalnego głosu i ruchów głowy. Specjalnie zwracamy jego uwagę, że scenę kłamstwa przed Rozą-Wenedą należało silniéj opunktować, każda bowiem podobna scena dramatycznego przełomu ponad poziomem ogólnéj akcji wznosić się powinna. Prawdziwy artysta forsuje nie podniesionym głosem ani wybitnemi konturami gestykulacji, lecz delikatnym a przecież dającym się uczuć zaznaczeniem chwili, wywołującéj w następstwie coraz to nowe gromy tragicznego demonizmu.

Kłamstwo Ślaza sprowadza zamordowanie królewicza, potém odwet Gwinony i t. d. aż do przegranéj walki, jest to kulminacyjny punkt tragedji, punkt artystycznie rzecz biorąc, w każdym dziele dramatycznym najważniejszy — na który wiele już razy zwracaliśmy uwagę naszych artystów, lecz dotąd bezowocnie!

Rolę Dervida odegrał p. *Rapacki* w całości i szczegółach wyśmienicie, a szczęśliwie bardzo pojęta i oddana postać idealnéj Lilly-Wenedy (p. *Nowakowska*) zasługuje na zupełne uznanie. Jest to może najlepsza kreacja pani Nowakowskiéj.

Pani *Hoffmann* (Roza-Weneda) była tego wieczora w swoim żywiole, każden jéj ruch, każde pochylenie głowy cechowało głębokie przejęcie się rolą i równie głębokie jéj zrozumienie. Wyznać jednak musimy, że uzewnętrznienie się, że organ głosu nie dopisał jéj tą razą. Mowa jéj do lutnistów i do rycerzy to są gromy potęgi natchnienia, to baterja elektryczna wstrząsająca sceną i audytorjum. Ani modulacja, ani skala głosu nie doszły w tych ustępach do właściwych granic. Najsłabiéj wypadła scena rzucenia kajdan pod królewskie nogi. P. Hoffmann wychodząc zaledwie z za rogu stosu i rzucając kajdany z Lelum i Polelum od niechcenia, nie pojęła widocznie, że w obec zwyciężającéj w osobie Lecha przemocy fizycznéj zaprezentuje wyższą nierównie potęgę niezłomnego ducha. „Patrz, co zostało z twoich niewolników,“ to wyrażenie i to odrzucenie niewoli w postaci kajdan zwycięzkiemu królowi Lechitów, wymagała innéj zupełnie sceny od téj którą nam dała p. Hoffmann.

Rolę króla oddał p. Ładnowski dość dobrze, lecz za to królowa Gwinona (p. *Aszpergerowa)* nietylko nie umiała swéj roli, ale grała bardzo miernie, jak również miernie zaprodukowali się Lelum i Polelum (pp. *Wolański* i *Janowski).*

Byłże to bohaterski wódz o dwóch głowach i dwóch sercach, czy też para flegmatycznych płaczków na niemieckim pogrzebie?

W komedji *Alfonsa Karr* p. t.: „Szpieg Bonapartego“ występował po raz pierwszy w gościnnéj roli b. artysta dramatyczny teatrów warszawskich p. *Józef Rychter*. Rozgłośna sława znakomitego i wielbionego tego artysty literalnie zapełniła cały nasz teatr, który nieustannie grzmiał przeciągłemi salwami hucznych oklasków. Gra pana Rychtera jest

skończona w najsubtelniejszych detalach akcji i dykcji, olśniewa widza błyskawicami prawdy i zniewala do podziwu przeciągającego się daleko po za granice jednego wieczora, rozbrajającego najwybredniejszego nawet analityka. Wystąpienie pana Rychtera w roli Michała Perin utrudniało niezmiernie stanowisko grających obok niego naszych artystów, z przyjemnością jednak wyznać należy, że wszyscy bez wyjątku wywiązali się tak chlubnie, że przedstawienie to należało do najlepszych w tym sezonie.

Szczególniejsze uznanie należy się p. *Parżnickiéj* (Teresa), *Bendzie* (Fouché) i *Wolańskiemu* (de Crussac). Ten ostatni robi ciągle postępy, postawa zaś jego i ucharakteryzowanie się w powyższéj roli zwracały uwagę, co u tak młodego artysty jest rzeczą niemałéj wagi.

Tegoż wieczora dawano małą komedyjkę *Narreja* „Takie one wszystkie“ w dobrym przekładzie p. T. Narzymskiego.

Obok dobrze grającéj ultra-charakterystyczną postać wielkiéj damy p. *Parżnickiéj* (księżna Korecka) i małéj rolki p. *Bendy* (hr. de Trauy) występowała w téj sztuczce po raz pierwszy panna *Bajerowicz* (Donna Sylvia de Toulas).

Trudno coś stanowczego wyrzec o młodéj debiutantce występującéj w roli namiętnéj Peruwijanki. Zauważyliśmy tylko cztery następne cechy: Nieco rutyny, pewność siebie i swobodę, ruchy w stylu *rococo* i wielkie nieumiarkowanie w używaniu mąki i karminu.

Dalsze uwagi odkładamy do następnych wystąpień tego nowego nabytku.

O...le.

α. δ. **Kronika**. — *Św. Andrzéj — Skandalik w naszym Kra... kowie. — Sprawiedliwość, w którą Jasełka nie wierzą. — Pomnikowe prace młodzieży, — zastosowane do przysłowia.*

Najważniejszym bez kwestji dniem w życiu panieńskiém był ubiegły poniedziałek. Wigilja św. Andrzeja! Dosyć jest pomyśleć tylko, że w dniu tym panny dowiadują się o swojéj przyszłości, aby mieć wyobrażenie — o niecierpliwości, z jaką płeć nadobna oczekiwała nadejścia owego proroczego zwiastuna.

Każdy narzeczony lub konkurent miał sobie polecone pod zagrożeniem niełaski, wystarać się o pewną ilość ołowiu niezbędnego do tajemniczych wyroków.

Za nadejściem wieczora zaczynają się czary, i... i niema domu, w którymby nie pełniono ich. Bo też to nie o bagatelę chodzi — z urny przeznaczenia ma wyjść mąż — który niezawodnie w następnym karnawale znajdzie się w jakim walcu lub polce, byle go dobrze poszukać. Śmiejcie się lub nie, piękne czytelniczki, ale jest coś romantycznego uroku w téj niewinnéj przepowiedni. Ja sam przyznam się, aplikuję ten zwyczaj chwalebny od lat kilku, i szukam mojéj przyszłości w dziwadłach roztopionego kruszcu. — Do dziś dnia niestety! napróżno — pędzę mój żywot dziewiczy z poddaniem się chrześciańskiéj uległości. — Jestto bowiem wielka odwaga zostać starym kawalerem lub niemłodą panną. Proszę mi wierzyć, żem nie myślał dokuczać tym zdaniem nikomu. Powtarzam tylko opinją ogółu, który upatruje może więcéj śmieszności aniżeli znaleźć ją można w stanie kapłańskiego żywota płci obojéj. Mając więc szczególniejszą inklinacją (przyznaję się z chlubą) do wszystkich pięknych czytelniczek (panien) „Kaliny“ radzę im i życzę z duszy serca aby w następnym karnawale wszystkie a przynajmniéj *stałe*... prenumeratorki poznajdowały mężów. Tutaj ośmielę się dodać tę maleńką uwagę, że i uniżony wasz kronikarz, piękne panie, należy do rzędu straconych, proszę więc i o nim niezapominać. Widzę, że na tém skończyć mi wypadnie pogadankę o tak ważnym przedmiocie jakim jest małżeństwo; boję się bowiem, aby mi nie przyszła ochota chwalić się i wyliczać wszystkie swoje zalety, któreby niewoliły serca moich łaskawych czytelniczek. Zamiast więc chwalić siebie wolę ganić drugich, co na jedno wyjdzie, a co jest daleko przyzwoiciéj, a zarazem daleko trudniéj. Trzeba bo wiedzieć, że od pewnego czasu Kraków poprawił się bardzo. Jeżeli gdzie urodzi się jaki malutki skandalik, to chowają go w takiéj tajemnicy, że biedny sprawozdawca dopiero z dziesiątych rąk odbiera, nie materjał ale już zupełnie skomentowane dzieło z dodatkami i objaśnieniami. Nawet doszło już do tego, że niektórzy redaktorowie niektórych *Krajów* w braku *bieżących* wiadomości fabrykują ciekawe widowiska u siebie. Bardzo dowcipny pomysł. Urodzajny grunt dla kronikarzy, a nieoceniony kraj dla publiczności. Skandalik sfabrykowany na gruncie jest zawsze pewną reklamą dla dziennika, a przytem daje mu prawo starania się o patent na wynalazek *pozbywania* się współpracowników nie po myśli redaktora. Wzmiankujemy o tém jedynie, aby uchronić interesantów od podobnych następstw, — i dlatego radzimy nie inaczéj udawać się do bióra redakcji jak z bronią w ręku, — a emigrantom z pasportem w kieszeni.

Ponieważ powiedzieliśmy w toku rzeczy iż Kraków poprawił się — i bardzo — a czytelniczki gotowe sądzić z tego co się nam niechcący wygadało inaczéj, na poparcie więc słusznéj naszéj uwagi, a na obronę krakowskich sądów, podnieść musimy sprawę dawno już zagrzebaną, owéj nieszczęśliwéj zakonnicy Barbary. W tych dniach rozstrzygnięto losy i przecięto węzeł gordyjski sprawiedliwości, t. j. wypuszczono jak się w kodeksie wyrażają na *wolność*, obwinione w sprawie Barbary zakonnice wraz z przełożoną. *Jasełka* wprawdzie pozwoliły sobie niektórych humorystycznych uwag z tego względu — ale sprawiedliwość wiadomo że jest *ślepą*, zatem niezawodnie czytać ich nie będzie. Pokazało się więc że niezawsze lud jest sprawiedliwy, a *vox populi*, jest *głosem Boga*. Kraków bowiem był przygotowany nadzwyczajne widzieć a przynajmniéj słyszeć rzeczy, gdy tymczasem stosując się do wyroku Sądu, musi poprzestać na niczem. Żal mi cię biedny Krakowie, ale sprawiedliwość przedewszystkiem, a przed tém wszystkiém jeszcze należy szanować wyroki sądów krakowskich.

Wkońcu dzisiejszego sprawodania muszę wspomnieć o posiedzenich młodzieży uczącéj się, która debatowała nad ułożeniem programu . . . do zabaw na zbliżający się karnawał. Prace przyniosły owoce, a kraj i naród może się cieszyć, i Uniwersytet i Technika bowiem, ma już termina balów wyznaczone.

Pokazuje się więc, że w dobrze uorganizowanym narodzie, potrzeba stosować się tylko do przysłowia — *czyń każdy w swoim kółku co każe duch boży* — a b a l i k pewno się złoży.

Sprawozdanie z pierwszego posiedzenia komitetu kobiet w Berlinie.

(**W. O.**) W dniu 5 listopada b. r. odbyło się pierwsze posiedzenie komitetu kobiet w Berlinie pod przewodnictwem Prof. Dra *von Holtzendorf*. Obecnych było osób 150, między którémi 25—30 mężczyzn. Następujące miasta wysłały po 3 do 6 delegatek: Bremen, Wrocław, Brunświk, Karlsruhe, Kassel, Darmstadt, Brzeg, Drezno, Głogów, Hamburg, Hanower, Lipsk, Lubeka, Wiedeń, Warszawa, Boston, St. Francisko, Berlin. Ameryka reprezentowaną była przez 6 delegatek. Po załatwieniu kwestji wstępnych i ustanowieniu porządku obrad, obrano prezesem Prof. v. Holtzendorfa, asesorem Dra Lammersa, sekretarzami zaś Miss Dogget, panią Schepeler-Lette, hr. Buddenbrok i panny Ludwikę Büchner i Jenny Hirsch.

Na porządku dziennym pierwszego posiedzenia postawiono następujące kwestje:

1) Ustanowienie organu do wzajemnych porozumiewań się między stowarzyszeniami kobiet istniejącemi w Niemczech i za granicą;

2) Zakładanie fachowych szkół dla kobiet;

3) Ustanowienie biór informacyjnych mająccch dostarczać zajęcia dla kobiet szukających pracy.

O pierwszéj z postawionych kwestji referuje Prof. Holtzendorf z Berlina. W półtora-godzinnéj dobrze obmyślanéj mowie wykazuje potrzebę wzmiankowanego pod 1) organu, zwłaszcza przez wzgląd na wielkomiejskie stosunki. Wykazuje daléj wysokie narodowe i międzynarodowe znaczenie kwestji kobiecéj, i dowodzi, że w celu porozumiewania się należy założyć tani bardzo dziennik, któryby poparty ze strony najznakomitszych literatów, zajmował się również prowadzeniem rubryki dla zgłaszań się potrzebujących zajęcia i ofiarujących takowe.

W końcu stawia mówca do przyjęcia następujące rezolucje: I) posiedzenie uznaje konieczność porozumiewania się między różnemi stowarzyszeniami kobiet w Niemczech i za granicą, i w tym celu postanawia 2) Zwoływać co 2 lata zjazdy delegatek, 3) Zawezwać do współdziałania wszelkie stowarzyszenia kobiet i popierające takowe prywatne osoby, 4) Wyznaczyć ogólne kierownictwo i miejsce jego przebywania, 5) Obliczać głosy delegatek w stosunku 1 do 50 wyborców, 6) Założyć dziennik i wybrać stałą komisję z 3 członków, 7) Przyjmować ważniejsze kwestje tylko większością $_2/^3$ głosów.

Rezulucje zostały przyjęte *en bloc* i przystąpionu do wyboru komisji i miejsca jéj stałego zamieszkania. Z urny wyszły: pani Fanny Lewald-Stahr, panna Schmidt i pan Dr. Lammers. Za stolicę wybrany został Berlin.

Nastepnie referuje panna Jenny Hirsch o biórach informacyjnych i kwestji kobiecéj w ogólności. Nie podobna zamieścić tu nawet *in extenso* obszernego i gruntownego jéj wykładu, wzmiankujemy zatem tylko, że referentka nie uważa kwestji kobiecéj za rzecz oderwaną i li tylko dla siebie istniejącą, lecz za małą choć nierozłączną część całéj kwestji socjalnéj. Mówi ona, że kwestja kobieca ma przedewszystkiem na celu wyzwolenia niewiast z kajdan moralnego i materjalnego poniżenia, duchowego kalectwa i nędzy, jest to według niéj zasypanie przepaści rozdzielającéj dotąd obie płcie i t. p. Referentka powołując się często na daty statystyczne i własne spostrzeżenia, rozwodzi się obszernie nad potrzebą biór informacyjnych (Bureaux des placements), lecz nie radzi oddawać je w ręce osób prywatnych. Na czele biór takich życzy widzieć wybrane i płatne obustronnie dyrektorki kumunikujące sobie wzajemnie listy osób i umieszczające je w organie stowarzyszeń kobiecych.

Nad przedmiotem tym wywiązała się długa dyskusja między obecnemi damami, a zakończyła ją *Miss Dogget* z Bostonu mową po angielsku, wykazującą bardzo jasno stan ruchu kobiecego w Ameryce. Kładzie ona nacisk na ważnéj różnicy zachodzącéj między Europejkami i Amerykankami, pierwsi starają się usuwać i wyróżniać od mężczyzn, podczas kiedy drugie usiłują zdobyć sobie wstęp do męzkich zakładów naukowych i robotniczych. Ten drugi sposób postępowania uważa Miss Dogget za stosowniejszy.

Pierwszy dzień posiedzenia został zamknięty głosowaniem nad wnioskami panny Jenny Hirsch, które w zasadzie przyjęto.

(Dokończenie nastąpi).

Korespondencja „K a l i n y."

Panu **Br. Łozi.** we L w o w i e — Chętnie zaspokoimy życzenia pańskie.

Pani **A. S.** — Wierszyk będzie drukowany.

Pani **O.** — Trzeba czekać, cierpliwość jest przymiotem aniołów.

Panu **L. M. K.** u Po. — Uwagi i pochwały pańskie rumienią nas, ludzi skromnych, przywykłych zresztą po ciernistéj drodze życia zbierać kwiaty i — zasługi.

☛ Z powodu opóźnienia przesyłki mód i krojów, takowe do następnego numeru dołączone zostaną.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

MAGASIN DES MODES
et de Nouvautés.

Na saison jesienny i zimowy przywiozłam z zagranicy najnowszego fasonu **Kapelusze, Czepeczki, Stroiki, Kapuzy, Pióra** i **Kwiaty**, i jestem w możności wszelkim wymaganiom Pań dogodzić.

Jadwiga Figlowa,

przy ulicy Grodzkiéj, L. 62.

Panom właścicielom dóbr i browarów

POLECA SIĘ

FABRYKA MACHIN

SZCZEGÓLNIÉJ DO

URZĄDZEŃ BROWARNIANYCH

BRACI NOBACK I FRITZE

jakoteż z takową w związku będące

BIURO TECHNICZNE DLA BROWARÓW

Gustawa Nobacka

w Pradze — Quai 16,

który w następujących miastach wykonał urządzenia browarów:

W Wiedniu, Pradze, Dreznie, Hluboczep, Branik, Pakomierzycach, Steinhofie, Drzewenicy, Trautenau, Zwittau, Rydze, Śmirzycy, Budziejowicach, Norymberdze, Niemes, Netolicy, Bechinie, Raudnitz, Bilinie, Turn, Liebenau, Semilu, Kamienicy, Tetschen, Wojniczu, Przestawku, Neuhaus, Schopka, Ratysbonie, Szczecinie, Pilznie, Konopischt, Postelbergu, Plass, Skalicy, Gross-Skal, Doxau, Łomnicy, Mies, Kost, Przybramie, Peszcie, Gradlitz, Chiesch, Kaplitz, Telec, Kladno, Litomierzycy, Gbelcie, Bernie, Szebetan, Napagedl, Ołomuńcu, Freywaldau, Enns, Czischkowitz, Kruschowitz, Rokytzanach, Winterbergu, Darzenicy, Wrschowitz, Morchenstern, Wernstadt, Popowicach, Taus, Królogrodzie, Kwasney, Kromieryżu, Kunstadzie, Tyrnawie, Kobylempolu, Frankfurcie nad Menem, Orlempolu.

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca drukarni *Józef Łakociński.*